Nr. 11. Lwów, Czwartek, dnia 14. Lutego 1884.

GAZETA DLA WSZYSTKICH

Wychodzi na przemian: w jeden Czwartek: „Dziennik dla Wszystkich“ illustrowany, a „Gazeta dla Wszystkich“ w drugi Czwartek.

Prenumerata wynosi wraz z dodatkami i bezpłatnemi premiami na obydwa pisma:

we Lwowie:				Na prowincji (z przesyłką pocztową).			
rocznie	9	zł. —	ct.	rocznie	10	zł. —	ct.
półrocznie	4	„ 50	„	półrocznie	5	„ —	„
kwartalnie	2	„ 25	„	kwartalnie	2	„ 55	„
miesięcznie	—	„ 75	„	miesięcznie	—	„ 85	„

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach oraz w Ameryce 6 fr. kwartalnie, które przeselać należy, przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Numer pojedynczy kosztuje 20 centów.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie przy ulicy Zimorowicza l. 12, gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia dla obydwóch pism. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przeselać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do administracji *„Dziennika dla Wszystkich“* we Lwowie — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu Haasenstein et Vogler Wallfischgasse, A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I Riemergasse 13, Daube et Comp. Maksimilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji Haasenstein et Vogler; w Paryżu Agence de Pologne rue de Londres 5; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie n. M. Daube et C.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski.**

Teodor Tulluk Kulczycki*)

(do portretu w Nrze 20. „Dziennika dla Wszystkich“.)

W numerze 20. roku zeszłego „Dziennika dla Wszystkich“, zamieściliśmy portret Teodora Kulczyckiego, profesora uniwersytetu i radcy skarbowego, obiecując życiorys dać później. Dziś dopiero możemy to uczynić. Oto jest:

Teodor Tulluk Kulczycki, urodził się we Lwowie, dnia 20. października 1822 roku, z ojca Szczepana i matki Marji z domu Szkoda, rodem Sandomierzanki. Tu pobierał tak początkowe, jak również gimnazjalne nauki, które ukończył w gimnazjum akademickiem w roku 1838.

Ukończywszy filozofję na uniwersytecie lwowskim, zamierzał poświęcić się stanowi duchownemu i wstąpił w roku 1840 na wydział teologiczny. Przez cały czas nauk, jako uczeń celujący, pobierał familijne stypendjum fundowane przez swego dziada stryjecznego ś. p. Jakuba Tulluk Kulczyckiego, byłego prezesa sądu szlacheckiego we Lwowie *(Forum Nobilium)*. Karjera duchowna niepowiodła mu się, gdyż za szlachetne wystąpienie w obronie kolegów nie wysłano go na studja teologiczne do Wiednia.

Po dobrowolnem opuszczeniu seminarjum powziął zamiar, zachęcony przez profesorów teologji przejść na obrządek grecko katolicki, ale mu odmówiono z Rzymu.

Uczęszczał obok wykładów teologicznych drugiego roku także na wykłady prawa rzymskiego i tak zwanych nadzwyczajnych przedmiotów wydziału filozoficznego i przysposabiał się do złożenia doktoratu, w zamiarze poświęcenia się stanowi nauczycielskiemu. Wskutek wstąpienia do alumnatu, utracił był pobierane stypendjum familijne, a przedwczesna śmierć ojca, który pozostawił liczną osieroconą rodzinę, zmusiła go, jako najstarszego członka familji zaniechać rozpoczętych studjów i jąć się zawodu praktycznego, któryby mu rychlej zapewnić mógł stosowne utrzymanie; wstąpił więc w roku 1843 na praktykę do b. lwowskiej izby obrachunkowej, przy której rząd właśnie podówczas po raz pierwszy od zaprowadzenia jej w Galicji rozpisał konkurs na praktykantów.

W roku 1848, kiedy powszechny zapał ogarnął wszystkie warstwy społeczne naszego grodu i każdy patrjota witał jutrzenkę swobody wschodzącą na szarem niebie biurokratyzmu ówczesnego w Austrji, niepozostał również Kulczycki w tyle za innymi i został towarzyszem 2giej kompanji gwardji narodowej. A gdy po przerwach wskutek spalenia uniwersytetu otwarto wykłady na wszystkich wydziałach w roku 1849 w zabudowaniu ratuszowem, zapisał się ponownie na wydział filozoficzny i był jednym z tych trzech, którzy pierwsi ukończyli trienium wydziału filozoficznego na uniwersytecie lwowskim po czem zdał ścisły egzamin z nauk matematycznych, otrzymawszy calcul: „perunanimia cum applauso“.

Nawał pracy biurowej, której się oddawal z niestrudzonym zapałem i podziwienia godną wytrwałością, pracując dziennie po kilkanaście godzin przy urządzaniu stosunków administracji fundacji hrabiego Skarbka, którą w roku 1850 rząd objął, niedozwolił Kulczyckiemu złożyć zamierzonego doktoratu, a party żądzą wiedzy i chęcią rozszerzenia swojego widnokręgu na społeczne sprawy spostrzegł zbyt rychło, iż niezdoła przezwyciężyć przeszkód, stawianych podówczas każdemu polakowi w urzędzie, przeniósł się, korzystając z osobistych stosunków i znajomości ludzi wpływowych, na własne żądanie w roku 1852 do izby obrachunkowej do Pragi. W ówczesnem urządzeniu administracyjnem w Austrji, rzadko się zdarzyło, iż stanowisko urzędnika w innej prowincji zajmował polak, zadaniem więc było usilnem Kulczyckiego zasłużyć swoją znajomością zawodową nie tylko na uznanie wśród obcych, lecz nadto dowieść, że polacy potrafią charakterem, pracą i usilną pilnością wywalczyć sobie przynależne stanowisko nawet wśród żywiołów, nie bardzo podówczas dla nas przychylnych. Tutaj poświęcał zbywający mu czas od żmudnej i natężającej pracy w biurze, studjom ekonomicznem i finansowem, badając pilnie w porównaniu do Galicji olbrzymi podówczas rozkwit i rozwój gospodarstwa narodowego w Czechach i śledził bacznie od początku wszystkie te objawy społeczne, nad których uregulowaniem i praktycznem zastosowaniem rozpoczął swą obfitą w skutki pracę, znany organizator towarzystw zaliczkowych, Schulze Delitsch.

Po uprzedniej habilitacji na uniwersytecie pragskim, rozwijał szczęśliwie przewodnią swą myśl w dziedzinie rachunkowości państwowej i uzyskał niebawem to, że władze zgodziły się, na przeniesienie go z Pragi do Krakowa, gdzie utworzono katedrę rachunkowości państwowej. W roku więc 1856 przybył Kulczycki do Krakowa i wykładał na uniwersytecie Jagiellońskim jako docent rachunkowość państwową, aż po koniec roku 1860, kiedy z powodu centralizacji władz krajowych, przeniesionym został do Lwowa. Tutaj podnieść nam wypada tę okoliczność, iż Kulczycki jest jedynym polakiem, poświęcającym się tej nieznanej u nas w kraju i zbyt mało cenionej, nader ważnej umiejętności, za jaką jest wszędzie uważana ra-

*) Tulluk oznacza w języku ruskim (*ecclesiasticum*) to samo, co Sachajdaczny z tatarska w języku polskim. Mianem tem nazwano na Zaporożu Pawła Fedkowicza (syna Fedka) z Kołczyc (Kolczyc), wnuka Waśka Waśkowicza, prawnuka Waśka Andrejkowicza i t. d. który, jako druh i najbliższy towarzysz Piotra Kunasiewicza (Sachajdacznego) po śmierci tegoż, prowadził zaporożców na wyprawy morskie (r. 1623 — 1626) i wskutek tego, jako dzielny wódz uzyskał miano Tulluka. Paweł Fedkowicz powrócił potem do ogniska domowego w Kulczycach i zatrzymał przyimek zaporozki, jako przydomek odrębnej gałęzi rodziny Kulczyckich zwanej odtąd Tullukowie. Paweł Fedkowicz znachodzi się już w roku 1639, w aktach grodzkich, jako Tulluk *dictus*; tenże pozostawil 4 synów, z których Stefan był ojcem Teodora, dziadem Jerzego, pradziadem Florjana, a prapradziadem Stefana, ojca Teodora Tulluk Kulczyckiego.

chunkowość, a tylko prawdziwe zamiłowanie do tego przedmiotu mogło go skłonić do poświęcenia osobistych korzyści materjalnych i dalszej karjery rządowej, zawodowi profesorskiemu. Po przeniesieniu do Lwowa, udzieliło mu ministerstwo oświaty veniam legendi także i dla uniwersytetu lwowskiego.

W roku 1861, po ukonstytuowaniu się Wydziału krajowego, otrzymał Kulczycki wraz ze znanym ekonomistą polskim, p. Józefem Supińskim i ś. p. Wojciechem Jaroszem, b. naczelnikiem buchhalterji miasta Lwowa, zaszczytne zaproszenie do wzięcia udziału w komisji, która obradowała nad projektem do urządzenia służby rachunkowej i kasowej przy tej najwyższej władzy autonomicznej. Znajomości fachowe i biegłość w nowoczesnym ustroju administracji rządowej, jakie posiadał Kulczycki, spowodowały obu tych panów do oddania mu wyłącznie elaboratu organizacji kasy i służby rachunkowej. Wtedy to Kulczycki napisał memorjał o funduszach i zakładach krajowych i o systemie administracji dla służby autonomicznej. Za pośrednictwem namiestnika, postarał się Wydział krajowy, że Kulczyckiego przydzielono od 7. września 1861. r. wyłącznie do służby przy Wydziale krajowym; w czasie więc rokowań Namiestnictwa z Wydziałem krajowym o odebranie pod zarząd tegoż wszystkich fundacyj, funduszów i zakładów, opracowywał Kulczycki wszystkie przedłożenia, bronił autonomji ze stanowiska rzeczoznawcy, a znaczna część protokołów, obrad i wniosków, tudzież powziętych uchwał tej komisji były jego pracą, znał, bowiem, dokładnie wszystkie stosunki tych fundacyj a nadto cały organizm administracji rządowej, mógł więc dawać cenne wskazówki, jakby jak najskładniej dały się ułożyć czynności autonomicznych i rządowych władz w ten sposób, aby się wzajemnie wspierały i dopełniały.

Po utworzeniu powtórnem izby obrachunkowej w Krakowie, podał się Kulczycki według przysługującej mu kolei, na radcę rachunkowego do Krakowa, lecz skutkiem zatrzymania podania jego w Wydziale krajowym, mimowolnie go pominięto przy promocji, a naczelna władza w Wiedniu, nadała mu wkrótce posadę radcy rachunkowego przy lwowskiej izbie obrachunkowej; od 28. lutego 1864 roku, wstąpił więc Kulczycki napowrót do służby rządowej. Podczas swego urzędowania na stanowisku radcy rachunkowego, znalazł i tutaj zbyt wiele pola, aby po za zajęciem w biurze i gorliwem wypełnianiu obowiązków służbowych, zajmować się jeszcze pracami dla dobra publicznego. I tak, w r. 1864, przyprowadził do skutku i zorganizował towarzystwo spożywcze, urządził dla niego własną piekarnię, założył sklep i kierował sprawami towarzystwa, jako członek zarządu, przez półpięta roku; nadto udzielał rad i wskazówek przy urządzaniu podobnych towarzystw w Poznaniu, Warszawie, Odessie i Krzemieńcu. Gdy podniesiono myśl założenia towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, wstąpił do komitetu, a później wybrany do dyrekcji, był jej skarbnikiem, liczbodawcą i zajmował się tem towarzystwem przez lat jedenaście, jak najgorliwiej i nader pożytecznie; tworzył z ś. p. Alfredem Młockim i Antonim Małeckim komitet zajmujący się opieką nad wydawnictwem encyklopedji dla krajoznawstwa Galicji, wydawanej przez ś. p. Antoniego Szneidra. Jako docent wszechnicy lwowskiej, wykłada tamże umiejętność rachunkowości państwowej, do czego poprzednio musiał przysposobić i ułożyć cały przedmiot w języku polskim, przysłużył się również społeczności polskiej przyswajając ogółowi jedno z najlepszych dzieł w tej umiejętności napisanych, a mianowicie przez wydanie i przetłumaczenie na język polski dzieła dr. Józefa Schrotta o rachunkowości państwowej, *(la Comptabilite)* którą własnemi uwagi i dodatkami uzupełnił; wykłada naukę buchhalterji handlowo-przemysłowej *(l' art du teneur des livres)* w szkole politechnicznej, a nadto pracuje nad dziełem w tym przedmiocie w języku polskim, wkrótce na widok publiczny okazać się mającem. Jako członek komitetu towarzystwa gospodarskiego, przeprowadził likwidację majątku funduszów tegoż towarzystwa z subwencyj od rządu udzielanych za czas od 1868, do 1878, za co komitet towarzystwa gospodarskiego, wyraził mu publiczne uznanie i podziękowanie w swem sprawozdaniu, a mianowicie za uporządkowanie i usystemizowanie rachunkowości, które zawdzięczał niestrudzonej czynności jego podając „do poczczenia to, co poczczenia jest godne“; uorganizował dalej szkołę uprawy i wyprawy lnu, zakładając takową w Gródku z funduszów przez rząd na ten cel udzielonych. Jako radny miasta Lwowa, będąc referentem sekcji szkolnej, przeprowadził wraz z innymi całą organizację szkół ludowych we Lwowie. Jako sprawozdawca komisji organizacyjnej przeprowadził organizację magistratu i służby miejskiej, wydał monografję o stosunkach gminy miasta Lwowa: wykazując w niej warunki podstawy ustroju władz gminy. Podał również i doprowadził do skutku projekt założenia szkoły imienia „Czackiego“ dla młodzieży izraelickiej. Skromny, a nader wytrwały pracownik, kształcąc się ciągle, pragnął zawsze swoją przez 40-letnią praktykę umiejętnie wykształconą pracę, poświęcić na cele dobra publicznego. W ogóle dał dowody, że każdy kto zechce i posiada odpowiednie zdolności, może po za ściśle zakreśloną sferą swego zawodowego powołania, wypełniać z pożytkiem i gorliwością różnorodne obowiązki obywatelskie względem ojczyzny.

Podnieśliśmy tutaj tylko niektóre momenty z nader czynnego życia Kulczyckiego, dające miarę jego działalności publicznej, która zasłużyła na rzetelne uznanie wśród ogólnego prawie u nas braku odwagi cywilnej i prawie niczem nie uzasadnionej niechęci do brania inicjatywy w dodatnich pracach dla dobra powszechnego.

E. T.

PRZEKLEŃSTWO.

POWIEŚĆ

(z angielskiego.)

(Ciąg dalszy.)

Hettie zbliżyła się szybko i dotknęła ręki lokaja.

— Słuchaj, przyjacielu, — wyrzekła, — dam ci suwerena za kwiaty, które ta pani trzymała w tej chwili w ręku. Spróbuj je dostać, ja poczekam tutaj,

Służący patrzył na nią w zdumieniu.

— Czy rozumiecie? — powtórzyła. — Dam wam suwerena za ten bukiet.

— Na co on pani? — zapytał z niedowierzaniem. — Może chcesz co złego uczynić?

— Bynajmniej, — odparła, — pragnę go zachować na pamiątkę.

Lokaj uśmiechnął się, — sądził zapewne, że dziewczę przysłane jest przez jakiego wielbiciela młodej jego pani, — zniknąwszy też na chwilę wewnątrz domu, powrócił z porzuconym niedbale przez Leę bukietem i wręczył go Hettie, która dała mu w zamian jedynego suwerena, jakiego posiadała w całym majątku. Jakże kochała zwiędłe te kwiaty! Jakże całowała gorąco skarb ten, który Lea trzymała w swej dłoni! Była to jedyna jej po siostrze pamiątka.

Marzyła, iż powtórzy swoją wycieczkę, nadzieje jej jednak zawiedzionemi zostały. Marcin Ray, oburzony brakiem uznania, jaki spotkał go w stolicy, postanowił opuścić ją natychmiast — i nie spoczął, dopóki nie znaleźli się napowrót na wsi.

Wkrótce potem artysta jakiś, przejeżdżający tamtędy, ujrzał przypadkiem Hettie w ramie okna, otoczonego różami, a zachwycony idealną, nieziemską jej urodą, wziął takową za przedmiot do swego obrazu, który ukazał się następnie na wystawie królewskiej akademji, zatytułowany *„Jutrzenka.“* Przedstawiał on budzący się pierwszy brzask dnia, w oświetleniu zaś różowej zorzy porannej śliczną twarz dziewiczą z oczami i myślą, wzniesionemi ku niebu. Złote włosy, błyszczące, jak aureola, delikatny koloryt i wyraz niebiańskiej ekstazy w błękitnych źrenicach, wszystko to wsławiło obraz od razu, zapewniając mu rozgłos i powodzenie.

Lea, lubiąca niezmiernie malarstwo, udała się raz z sir Bazylim w celu zwiedzenia wystawy.

— Czy widziałaś *„Jutrzenkę“*, Leo? — zapytał. — Jeżeli nie, to chodź tędy. Nic dziwnego, iż śliczne to płótno otoczone jest zawsze mnóstwem osób, bo spojrzyj tylko, co za idealne rysy; trudno byłoby wymarzyć lub stworzyć coś piękniejszego.

Lea patrzyła długo i badawczo, — twarz ta dziwnie jej przypominała oblicze utraconej niegdyś siostry. Nie przypuszczała, iż ją to właśnie przedstawiał obraz.

— W rzeczy samej urocza istota, — odparła zwolna, zastanawiając się w duszy,

czy też Hettie wyrosła naprawdę na tak piękną kobietę.

— Czy wiesz, — wyrzekł sir Bazyli Carlton, — iż między tą twarzyczką, a tobą wielkie zachodzi podobieństwo? Odkryłem to w tej chwili.

— Doprawdy? — zapytała, gorącym oblewając się rumieńcem.

Carlton, porównywający bacznie malowidło i narzeczoną, uderzony został nowym szczegółem.

— Różnica między wami, — zawołał, — polega na tem, że twarz ta posiada wyraz tkliwości, — którego tobie, Leo, braknie zupełnie.

Uwaga jego słuszną była, a jednak, wiedząc, jak przykro dotknęła mis Hatton, pożałował wypowiedzenia jej w tej chwili.

— Boleśnie mi, — wyrzekła, — iż w rysach mych odkrywasz brak jakikolwiek, szczególniej zaś... brak tkliwości.

— Zechciej mnie zrozumieć, Leo, nie mówię o sercu, ale o wyrazie fizjognomii.

— A czemże się moja odznacza? — zapytała.

— Odwagą, dumą i silną wolą, podczas gdy *„Jutrzenka“* mówi o słodyczy i uległości.

— A więc wolisz tamtą?

— Nie, Leo, tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, iż posiada ona wyraz niewieściej tkliwości, którego tobie braknie.

I, widząc niepokój jej, sir Bazyli uciekł się do pieszczoty i serdecznych wyrazów, które Leę rozbroiły natychmiast.

ROZDZIAŁ XXVI.

Gdy sezon miał się ku końcowi, księżna Rosedene'u zwróciła się do jenerała Hatton'a z uprzejmą propozycją:

— Pozwól nam, sir Arturze, powtórzyć szczęśliwe doświadczenie z zeszłej jesieni — i przyjmij szczere do Opactwa zaproszenie. Nigdy jeszcze czas nie upływał mi tak mile, jak podczas ostatniej waszej w Dene-Abbey bytności. Namówię również sir Bazylego, i narzeczeni po zgiełku stolicy spędzą znów wśród ciszy kilka miłych tygodni, — chociaż zakochani należą do tych nierozsądnych istot, które, nieumiejąc szczęścia używać, najczęściej są niezadowolone.

Księżna bystrem swem okiem dostrzegła oddawna cień, zasępiający rysy sir Bazylego. Nie był to wyraz niezadowolenia lub troski, lecz jakaś chmurka nieujęta, która się nie dała słowami określić. Nieraz zapytywała siebie, czy też Carlton jest tak szczęśliwym, jakby być powinien młody człowiek, otrzymujący rękę jednej z najpiękniejszych panien w Anglii?

Sir Artur i Lea zgodzili się chętnie.

W pobliżu wspaniałego Opactwa, — oddzielone od niego zielonem wzgórzem tylko, wznosiło się, a raczej rozkładało nad morzem małe miasteczko Southwood. Niektóre domki jego leżały tak blisko wybrzeża, iż silniejszy przypływ morza niebezpiecznym się dla nich stawał. Inne, rozrzucone malowniczo po wzgórzach, zdawały się zewnętrzną swą szatę stosować do stołecznego stanowiska mieszkańców. U podnóża mieszkali ubodzy żeglarze i rybacy, — wyżej wznosiły się wytworne wile szlachty, ukryte wśród róż i zieleni, z widokiem na bezmierne, ruchliwe fale oceanu.

Najpierw ze względu na powołujące w pobliskich miastach interesa, a potem dla słabości silnie zachwianego zdrowia Marcin Ray od kilku lat już obrał sobie stałą w Soutwood'zie siedzibę. Siły jego były podkopane, wola złamaną, środki pieniężne niewielkie, życie zepsute, zmarnowane, serce niespokojne i zgorzkniałe. Oburzony na świat i ludzi, rad on był upadek swój ukryć w cichym tym zakątku, gdzie nienawiść tylko trzymała go przy życiu, nienawiść, która srożej jeszcze, niż dawniej, paliła jego serce, nienawiść do wszelkiej władzy i wszelkiej powagi. Odwaga i nieugięta siła młodości opuściły go, od czterech lat też mieszkał on już samotnie w małym domku, położonym na pochyłości zielonego wzgórza, zkąd podczas przypływu zdawało się, iż wisi on cały wprost nad przepaścią morską. Domek ten, bo trudno go było wilą nazwać, miał, z powodu okalających go róż, nazwę Rosewalk.

Tu, przyglądając się szkarłatnym promieniom zachodu, odbitym w falach oceanu, Marcin Ray przebiegał myślą wspomnienia przeszłości, smutnemi karmiąc się widmami. Całe jego życie zmarnowanem zostało. Marzył o zapewnieniu sobie miejsca w historji, lecz usiłowania jego próżnemi się okazały, — a jednak nie przypisywał tego własnemu samolubstwu i źle zrozumianemu patrjotyzmowi, ale ucieczce ukochanej córki, która go się wyrzekła, za obcym przybyszem dom opuszczając.

Marcin Ray w zaślepieniu swem nie wiedział, iż pamięć takich, jak on, ludzi ginie szybko.

Hettie nadludzkich używała wysileń, aby utrzymać pracą swą ojca. Dawała lekcje dzieciom zamożniejszych mieszkańców Southwood'u, malowała drobne szkice i widoki, szyła i śpiewała wreszcie. Ray zdawał się nie widzieć tego. Dziewcze oddawało mu wszystko, przywiązanie swe, czas i ciężko zapracowane pieniądze, on zaś w zamian nie zadawał sobie trudu nawet, aby spostrzedz zniszczone jej sukienki i zużyte buciki.

O widzeniu Lei nie wspomniała mu wcale, wiedziała tylko, iż czyta pilnie gazety; nigdy jednak nie dał poznać ani jednem słówkiem, że imie córki zwróciło w nich jego uwagę. Hettie milczała, często wszakże zdarzało się, iż, siedząc obok siebie, zasłuchani w wieczorny szum oceanu, oboje myślą gonili ukochaną postać utraconej. Ray widział ją zawsze, z blaskiem nieufności w dziecinnej twarzyczce, taką, jaką była, porzucając go w Manchester. Hettie przedstawiała sobie siostrę w całej wspaniałości rozwiniętych wdzięków i uroczego stroju, w jakim ją spotkała w Londynie. Żadne zaś z nich nie domyślało się, iż żyli tak blisko siebie. Między wspaniałem Opactwem-Dene'u, a ubogimi mieszkańcami Southwood'u najmniejszej niebyło łączności, to też rozdzielające ich wzgórza stanowiły nieprzebytą granicę. Żyjąc obok siebie, byli tak oddaleni, jak gdyby Dene-Abbey na innej, niż Southwood, znajdowało się półkuli.

W miasteczku nikt się nie zajmował polityką, „Głos-Ludu“ też, zupełnie nieznany, nikogo tu nie obchodził. Wprawdzie mówiono, iż w Rosewal'ku mieszka jakiś autor, o znakomitości jego wszakże nieświetne miano wyobrażenie, wiedząc, iż praca córki utrzymuje go głównie.

Śliczna zaś, złotowłosa Hettie cieszyła się tu ogólnem uwielbieniem i przyjaźnią. Bo też śpieszyła ona zawsze z dobrem słowem i pomocą, dzieląc się z biedniejszymi skromnem swem mieniem nawet. Pracowała dzień cały, wstawała z pierwszą jutrzenką, przepisywała rękopisy ojca, biegała na lekcje i, zajęta w każdej chwili, byłaby chętnie przystała na podwojenie godzin dziennych. Przytem słodka i rozumna, zdobywała serca wszystkich, zarówno anielską swą urodą, jak i wrodzonym, pełnym dystynkcji wdziękiem.

Lato niezmiernie było upalne. Marcin Ray więcej też cierpiał, niż zwykle, i z radością powitał pierwsze powiewy jesienne, które mu przyniosły niejaką ulgę. Od czasu do czasu ktoś powtarzał obojętnie, iż Dene-Abbey zapełnione jest gośćmi, — Ray'om jednak nigdy nieprzychodziło na myśl, aby takowi mogli ich obchodzić. Ani Hettie, ani jej ojciec nie byliby patrzyli tak spokojnie na bezmiar oceanu i białe, okalające go skały, gdyby byli przeczuli, iż Lea temi samemi równocześnie napawa się widokami. Mieszkańcy Opactwa rzadko bardzo odwiedzali starożytny normandzki kościołek w Southwood'zie, gdzie Hettie śpiewała tak ślicznie, — mieli oni inny, znacznie bliżej położony, a przedewszystkiem równiejszą i przystępniejszą doń drogę. Jeden sir Bazyli tylko, zwiedziwszy raz średniowieczną świątynię, tak się zachwycił wieżycami jej i łukami, iż postanowił częściej tu powracać.

Następnej też zaraz niedzieli, przebywszy z trudnością wszystkie wzgórza, skierował się ku niewielkiemu kościółkowi, niewiedząc, iż spotka się tam ze swojem przeznaczeniem. Jakże obraz ten głęboko wyrył mu się w pamięci! W wiele lat później jeszcze widział stare olchy, prowadzące ku bramom cmentarza, dalej skromną plebanię z kompasem w ogródku, otoczonym słonecznikami, zielone trawniki i złoty odbłysk oblewających je promieni słonecznych.

Proboszcz po odczytaniu modlitw powiedział krótkie kazanie, złożone ze słów prostych, lecz tak zacnych, iż szły do głębi serca, — poczem zrobiła się cisza, i wszyscy mimowoli zwrócili oczy ku chórowi.

Wśród ogólnego milczenia wzniósł się zaraz bogaty, rozległy głos, którego sir Bazyli miał nigdy nie zapomnieć. Śpiewał on solo we wspaniałym, starym hymnie, którego podniosłe słowa, wzniesione cudownem, metalicznem brzmieniem, spadały wyraźnie sylaba po sylabie, jednocząc się i nadając doskonale do mistrzowskiej muzyki i angielskiego głosu.

Młody baronet, zdumiony, oniemiały, słuchał, niewiedząc, co się z nim dzieje. Nieobce mu były słynne śpiewaczki włoskie, znał również najpierwszych władców harmo

nii, a jednak nigdy jeszcze nie czuł się tak wzruszonym i uniesionym. Przeczysty głos zaś wznosił się tymczasem, słodki, jasny i rzewny, brzmiący łzami i bólem tajonym lub dźwięczący uczuciem radości. Carlton nie był poetycznym i sentymentalnym, przeciwnie, szczycił się zawsze trzeźwem swem zapatrywaniem na rzeczy, a jednak w tej chwili wybiegło mu na usta:

— Tak muszą śpiewać anieli.

Zwróciwszy się ku chórowi, ujrzał tam obraz, który się na zawsze wyrył w jego pamięci. Przy organach stała wysmukła, wiotka postać dziewicza, przybrana w bladą, błękitną sukienkę, z aureolą złocistych włosów na czole, — rysy jej zaś nacechowane były tak anielskim wyrazem zachwytu niebiańskiego i ekstazy, taką czystością i poezją, iż, patrząc na cudowne to zjawisko, wstrzymywało się oddech mimowolnie z obawy, aby w wyższe nie uleciało światy. Kształtna jej główka była nieco wzniesiona, duże, smutne oczy zwracały się ku niebu. Śpiewała ona nie dla tych, co ją z niemym słuchali podziwem, nie dla tego, który, zatopiony w zachwycie, wzroku od niej nie umiał oderwać; myśli jej snać opuściły świat ziemski, a przebiwszy się przez sklepienie starego kościoła, i fale niebieskiego eteru, uleciały tam, gdzie anieli przebywają.

Gdy Carlton otrząsnął się nieco z dziwnego uroku, jaki wywarła na niego czysto duchowa piękność cudownej tej istoty, — spostrzegł, iż rysy jej przypominają mu bardzo kogoś znajomego. Czuł, iż gdzieś przedtem już musiał widzieć błyszczące te, jak gwiazdy, wielkie źrenice i drobne, słodkie usteczka, — tak, — znał tę twarz całą, lecz z innym zupełnie wyrazem. Powoli przypomniało mu się, iż było to samo oblicze, które mu się podobało tak w obrazie, zwanym *„Jutrzenką.“* Pamiętał nawet, iż mówił wtedy Lei: — „Twarzyczka ta posiada wyraz tkliwości, którego tobie braknie.“

— Przeznaczonem mi było poznać ją przez sztukę, — myślał, — wpierw w malarstwie, a teraz śpiewem wyidealizowaną. Lecz cóż mnie ona obchodzić może?

Nic go nie mogła obchodzić, — a jednak przez cały dzień widział przed sobą tę postać eteryczną, jasną, świetlaną, zachwytem rozjaśnioną.

Chciał się zapytać, kto ona była, nie znał tu jednak zgoła nikogo, z ostatnią zaś nutą śpiewu zjawisko znikło zaraz. Wybiegł przed kościół, i tu jednak niebyło jej ani śladu. Rozczarowany, powrócił do Opactwa. W uszach brzmiał mu ciągle cudowny, przeczysty głos nieznajomej. Przechodząc przez most, nachylił się nad wodę, z nurtów rzeki zaś wychyliła się ku niemu śliczna, jasnowłosa jej główka. Zaczął się śmiać z siebie. Nigdy jeszcze żadna twarz kobieca nie prześladowała go w ten sposób, nigdy rysy Lei nawet nie były mu tak przytomne.

Przy śniadaniu opowiedział o doznanem dziś wrażeniu i cudownym głosie śpiewaczki. Kilka osób objawiło chęć udania się do kościółka w Soutwood'zie i posłyszenia tego cudu, — książe jednak przeprosił swoich gości, wyznając, że między nim, a proboszczem z miasteczka istnieje dawne nieporozumienie, i, że tylko usunięcie takowego mogłoby go skłonić do bywania w Southwood'zie.

Sir Bazyli postanowił, iż, dopóki tylko będzie w Opactwie, dopóty będzie słuchał, co niedziela, głosu, który go tak oczarował.

— Gdyby można zakochać się w śpiewie, — myślał, — posądziłbym, że mnie się to przytrafiło. — Kierowany dziwnym instynktem, nie wspominał nic Lei o całem zjawisku.

Z początku miał ochotę powiedzieć jej, iż spotkał oryginał *„Jutrzenki“*, później jednak, przypomniawszy sobie urazę, z jaką przyjęła porównanie między sobą a obrazem, nie chciał odnawiać takowej w jej umyśle.

Gdy tego wieczora Carlton siedział, zadumany przy oknie biblioteki, a przed oczyma jego duszy unosiła się postać nieznajomej, — Lea zbliżyła się zwolna i wsparła białą rączkę z pieszczotą na jego ramieniu.

— Czy wiesz, Bazyli, — wyrzekła, — żeś był bardzo roztargnionym dzisiaj? Nie wiem, czyś przemówił kilka słów do mnie? Dotąd byłam cierpliwą, teraz jednak musisz mi to wynagrodzić.

Baronet podniósł oczy ku narzeczonej, między nim jednak, a piękną jej postacią zdawała się wznosić złotowłosa główka nieznajomej.

— I jakąż moja władczyni naznacza pokutę? — zapytał z uśmiechem.

— Pozostawiam ją twemu uznaniu, — odparła.

Przyciągnął ją nieco i, posadziwszy obok siebie, wyrzekł kilka słów serdecznych. Lea kochała go do tego stopnia, iż najmniejsza rzecz zadawalała ją zupełnie. Ktoś, więcej wymagający, byłby znalazł zapewne, iż sir Bazyli Carlton nie był bardzo czułym narzeczonym, że niezanadto okazywał swe uczucia, — Lea wszakże zbyt była zaślepiona własną namiętnością, aby dopatrzeć jakikolwiek brak w swym ideale. Godzina też, spędzona z nim owego wieczora, należała do najszczęśliwszych, jakich zaznała kiedykolwiek.

Niedziela nadeszła nareszcie, — piękna, uśmiechnięta i czarowna. Patrząc na zadumaną twarz sir Bazylego przy śniadaniu, Lea, wierząca, iż myśli on w tej chwili o niej i o wspólnej ich przyszłości, przesyłała mu najtkliwsze wejrzenia.

W pogodny ten poranek żadne poczucie nie mówiło Carlton'owi, iż stokroć lepiej zrobi, gdy uniknie pokusy, pozostając przy narzeczonej. Poszedł. Ona śpiewała piękniej jeszcze, a cudownie urocza, przypominała mu z anielskim swym wyrazem niebieską szatę i ze złotych włosów koronę, — arcydzieła pędzla, widziane we Włoszech.

Tą razą wybiegł pierwszy z kościoła, wkrótce zaś później ujrzał wpośród pobożnych wysmukłą postać w powłóczystej, błękitnej sukience, pełną wdzięku i wytwornej elegancji. Słońce oblewało jasnymi promieniami stary normandzki kościółek, wyniosłe olchy, gromadki pobożnych i idealną postać dziewczęcia, a młody baronet, patrząc na to wszystko, uczuł, iż do serca jego wkrada się nowe jakieś, nieznane tam życie. Przebiegło ono jego żyły, zagrało w skroniach i, rozkoszne przed chwilą, bólem stało się prawie. Był to, ma się rozumieć, wpływ muzyki tylko, — tak to sobie tłómaczył przynajmniej.

Otoczona cisnącemi się do niej dziećmi, rzuciwszy starszym miłe słówko, lub uśmiech, postać nieznajomej zniknęła na zakręcie.

Sir Bazyli odszukał w tej chwili zakrystjana, a wsuwając mu w rękę hojny datek, zapytał o śpiewaczkę.

— To mis Ray, mis Hettie Ray, córka tego starego pana, co mieszka w Rosewalk, — brzmiała odpowiedź.

— Gdzież jest ów Rosewalk? — pytał dalej — i o jakim starym panu wspominasz?

— Domek, zwany tem mianem, leży po tamtej stronie wzgórza, ojciec zaś młodej panny jest podobno wielkim człowiekiem, co do gazet pisze, pomimo tego jednak bieda tam wielka, i córka ciężko pracować musi.

Sir Bazyli Carlton postanowił przekonać się osobiście o prawdzie słów mrukliwego zakrystjana.

ROZDZIAŁ XXVII.

Sir Bazyli Carlton niezmiernie był zadowolony, iż, wracając z miasteczka, spotkał sam na sam księcia Rosedene'a, — mógł, bowiem, po chwili nakierować rozmowę ku przedmiotowi, zajmującemu go tak żywo. Czy książe raz tylko na rok przyjeżdżał do Opactwa, — czy znał mieszkańców Southwood'u, i czy to prawda, iż znajduje się między nimi jakiś autor-polityk? Zapytania powyższe wybiegały mu z kolei na usta.

Jego łaskawość wzruszyła dobrodusznie ramionami.

— Nic o tem nie słyszałem, — wyrzekł. — I któż to taki?

Sir Bazyli sam nic nie wiedział i dla tego właśnie prosił o objaśnienie. Mówiono mu tylko, iż w Southwood'zie mieszka jakiś pisarz, pracujący nad polityką.

— Co prawda, sprawami takiemi niewiele się w ostatnich latach zajmowałem, — wyznał książe. — Cieszy mnie, że one pana obchodzą, lubię, bowiem, gdy młodzi obywatele ziemscy wybijają się naprzód, jest to znak, iż społeczeństwo na zdrowych spoczywa zasadach. Ale, wracając do tego człowieka, jakże on się nazywa?

— Ray, — odparł sir Bazyli.

— Ray, — powtórzył książe zwolna, — Ray, ach, tak! Przypominam sobie doskonale to imie, chociaż nie znam jego właściciela. Był to niegdyś znany socjalista, demagog, miewający mowy rewolucyjne do ludu i pracujący nad zburzeniem porządku społecznego. Wpływ jego na proletarjat był znacznym, i, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, został nawet raz uwięzionym za zdradę stanu.

— Burzliwa karjera, — zauważył sir Bazyli.

— Napisał on kilka artykułów, nacechowanych niepospolitym talentem, niestety jednak, były one oparte na zupełnie fałszywej podstawie. Najlepszy jego pamflet, zatytułowany *„Odezwa do ludu“*, narobił w swoim czasie dużo wrzawy. Skoro cię to zajmuje,

Carlton'ie, postaram się dowiedzieć szczegółów o nim i udzielę ci takowych.

Sir Bazyli noc całą śnił o Hettie, co według niego tłumaczyło się łatwo zachwytem, jaki śpiew jej zdołał w nim wzbudzić. Przebudziwszy się, wyszeptał mimowoli; Hettie Ray. — Imie to dziwny dla niego posiadało urok. Lubił wystawiać ją sobie, jako córkę wpływowego polityka, bez względu na to, iż ojciec jej był wstrętnym dlań radykalistą.

— Dowiadywałem się o tego Ray'a, — wyrzekł książe w kilka dni później, — i powiedziano mi, sir Bazyli, że jest to ubogi, w niedostatku żyjący człowiek.

— Domyślałem się tego, — odparł młody baronet.

— Przedstawia on dzisiaj złamaną potęgę, a raczej, daruj wyrażenie, niebezpiecznego psa z kagańcem na ustach. Stary i schorzały, nie będzie już złego broił w świecie. Mówiono mi, iż w skutek osłabienia i braku środków materjalnych osiadł w Southwood'zie, aby tu w spokoju dni swoich dokonać.

— Lew postarzały, — wyszeptał sir Bazyli.

— W rzeczy samej. Objaśniono mnie, iż posiada piękną i dobrą córkę, która go własną pracą utrzymuje, nikt jednak nie zwraca wielkiej na niego uwagi, i wogóle niezbyt wielkiem cieszy się uznaniem u ludzi. Jeżeli ci to nie stanowi różnicy, sir Bazyli, — ciągnął dalej książe, — bardzo byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie wspominał przy nikim z moich gości, iż Ray, słynny dawniej „Głos-Ludu", tak blisko nas mieszka.

— Dla czego? — zapytał Carlton w sposób, tak nagły, iż mógłby się wydać niegrzecznym; książe tego nie zauważył.

— Główną słabą stroną Ray'a, — objaśnił, — była zawsze szalona próżność: człowiek ten dla rozgłosu wszystko był w stanie poświęcić. Gdyby goście moi dowiedzieli się o jego istnieniu, niejeden poszedłby tam, a wkrótce miejsce jego zamieszkania znanem byłoby ogólnie. Jestem pewny, iż Ray niczego tak nie pragnie, jak stania się przedmiotem gazeciarskich rozpraw. Otóż ja nie chcę mu bynajmniej w tem dopomagać i cieszę się, że Southwood oddzielony jest od Opactwa trudnymi do przebycia wzgórzami. Nie znoszę ludzi tego rodzaju.

Stosując się do życzenia gospodarza, sir Bazyli przez czas pobytu w Dene-Abbey nigdy nie wspomniał imien a Marcina Ray'a. Zarówno obowiązek grzeczności względem księcia, jak i nieokreślone przeczucie własnego interesu, kazało mu nie mówić więcej o kościółku w Southwood'zie i pieknej jego śpiewaczce. Im usilniej jednak milczał, tem więcej myślał o niej. W końcu postanowił odwiedzić Ray'a. Nie mogło go to obrazić, bo, jako człowiek publiczny, musiał być do wizyt takich przyzwyczajony.

Jednego przeto jesiennego poranku sir Bazyli wybrał się do Rosewalk'u.

Powiedziawszy Lei, iż zamierza dalszą uczynić wycieczkę, i niezaprosiwszy jej z sobą, młody baronet skierował się znaną już sobie drogą. Stanąwszy, ze szczytu zielonego wzgórza rozejrzał się dokoła, podziwiając ślimakowaty sposób, w jaki miasteczko wznosiło się na jego pochyłości. Na samym dole rozłożone były ubogie chaty rybaków, wyżej zamożniejsze i ładniejsze wille.

Wśród tych ostatnich, na uboczu nieco, zwrócił jego uwagę śliczny, niewielki domek, otoczony trawnikiem i ukryty w zwojach zieleni. To musiał być Rosewalk. Serce Carlton'a żywiej bić zaczęło. A jeżeli w otwartem oknie ujrzy anielską twarzyczkę lub posłyszy znów cudowny śpiew serafinów?

I na raz zbrakło mu odwagi. Pomimo dalekiej drogi, zrobionej umyślnie, przeszedł teraz około domku, niepodniósłszy nawet oczu na niego.

Doszedłszy do końca równiny, zawstydził się własnego tchórzostwa i postanowił powrócić. Gdy zbliżył się nieco, spostrzegł, iż przed domkiem stoi niemłody już człowiek, przypatrując się szybującemu po morzu okrętowi.

Szafirowy obszar oceanu, białe skały, zielone wzgórza, jasne żagle parowca i domek, w bluszcz spowinięty, wszystko to tworzyło tak śliczny obrazek, że Carlton zatrzymał się z mimowolnym zachwytem.

Przeczucie mówiło mu, iż człowiek, oparty o mur, winem opleciony, to Marcin Ray, szukany przez niego.

— Cóż to za piękny widok, sir! — wyrzekł młody baronet, zatrzymując się przed nim.

— W rzeczy samej, — brzmiała odpowiedź.

Sir Bazyli stał zakłopotany. Sam nie wiedział, co mu dalej powiedzieć wypada. Przeniósłszy oczy z błękitnego wód obszaru na surową, wyniszczoną i pochmurną twarz starca, pomyślał, iż szczerość najlepszą będzie bronią.

— Szukam, — wyrzekł spokojnie, — domu pana Marcina Ray'a; możebyś mnie pan raczył objaśnić, gdzie on mieszka?

— Tutaj, ja jestem właśnie Marcinem Ray'em, — odparł lakonicznie.

Sir Bazyli znów się uczuł zmieszanym.

Gospodarz, wsparty dotąd o mur, wyprostował się, a patrząc w dorodną, opaloną twarz młodzieńca, zapytał:

— Chciałeś się pan widzieć ze mną, czy mogę wiedzieć, dla czego?

Poczucie dobrego wychowania przyszło tą razą Carlton'owi z pomocą.

— Powód, mną kierujący, bardzo jest prostym, — wyrzekł, unosząc w górę kapelusz. — Słysząc, iż mieszkasz pan tutaj, nie mogłem się oprzeć chęci złożenia hołdu człowiekowi, który, słusznie czy nie, był jednak znanym przywódcą ludu angielskiego.

— Podzielasz pan więc mój sposób myślenia? — zapytał Ray badawczo.

— Niestety, nie, — odparł sir Bazyli. — Jakkolwiek jednak nie pochwalam ostateczności, do jakich pan dochodzisz, nie należę również do obozu twych nieprzyjaciół. Przekonania moje zajmują pośrednią drogę między nimi, a panem.

— Pośrednią drogę, — powtórzył Ray szyderczo, — o! w takim razie zasady pańskie nie zaciekawiają mnie wcale.

— Ja też nie przyszedłem tu, bynajmniej, w zamiarze zaciekawienia pana, — odpowiedział młody człowiek z godnością.

— Przepraszam pana, nie miałem zamiaru być szorstkim, — pośpieszył Marcin Ray naprawić złe wrażenie słów swoich. — Chciałem powiedzieć, iż, spędziwszy życie na gorącej walce, znam tylko dwie ostateczności; każda pośrednia droga jest dla mnie, daruj pan, miernotą, której nienawidzę.

— Jesteś pan starym żołnierzem, który proch czuje w powietrzu, — zauważył sir Bazyli z humorem. — Sądziłeś na razie, iż nadarza ci się sposobność do politycznej dysputy, tymczasem ze mną nie jest to potrzebne. Jako poczynający nowicjusz, który pragnie dopiero wtajemniczyć się w te sprawy, nie zdołałbym nigdy współzawodniczyć z panem.

Ray czuł się zachwycony lekkiem tem pochlebstwem.

— Niestety, — ciągnął baronet, — pozbawiony byłem zupełnie korzyści, jakie przynosi angielskie wychowanie. Spędziwszy młodość całą we Włoszech, nie mogłem zapoznać się także z krajową naszą polityką.

— Wielka szkoda! Syn Albionu powinien być wychowany wśród ojczystego otoczenia, — zauważył Ray opryskliwie.

— Niema zasady bez wyjątku, — przerwał sir Bazyli żywo, — każda też żyjąca istota musi nieraz przed zbiegiem okoliczności własną schylić głowę. Nikomu niewolno być tak samowolnym i czelnym, aby całemu światu zdanie swe narzucał, wołając z wyciągniętą dłonią: Macie postępować tak, jak ja za stosowne uważam!

— Być może, iż dowodzenie pańskie jest słusznem, — przyznał Ray z niezwykłą sobie uległością.

— Przy dobrej woli, — ciągnął Carlton, — obznajmię się w krótkim czasie dostatecznie z krajowymi stosunkami i polityką rządu. Zamierzam dużo czytać, badać i rozważać, zrozumiawszy zaś dokładnie zasady wszystkich stosunków i szczegóły każdej kwestji, będę dopiero w stanie własne wytworzyć sobie przekonania.

— Bardzo słusznie, — wtrącił Ray.

— Tymczasem zaś, — mówił Carlton dalej, — zwracam się najbardziej do pośredniej drogi. Nie wierzę ślepo tym, co głoszą boskie prawa monarchów, lecz równocześnie nie jednoczę się i z tymi, coby chcieli z królewskiej korony uczynić wygodny cel dla swych pocisków. Przeczytawszy niektóre pańskie prace, znajduję, że i pan posuwasz się w nich zbyt daleko. Pisma te tchną buntem i rewolucją.

— Jesteś szczerym, młodzieńcze, — zauważył Marcin Ray.

— Wysoko cenię prawdę i otwartość, bo dowodzą one szacunku dla przeciwnika, — odparł sir Bazyli, schylając głowę. — Słyszałem, że w ostatnich czasach dotknęły pana niepowodzenia i choroba, czyżby to miało być prawdą?

— Najzupełniejszą, — odparł Marcin Ray, któremu młody ten człowiek dosyć się podobał. Ujęło go jawne zajęcie się nim, jakiego od dawna już nie doznawał. Gdyby mu kto

powiedział w tej chwili, iż nieznajomego pociągnęła tu obecność Hettie, „Głos-Ludu“ byłby się oburzył najsilniej.

— Zdrowie i siły odbiegły mnie w ostatnich czasach, — ciągnął uroczyście, oraz pewnym odcieniem godności. — Świat ten lepiej się obchodzi z psem żyjącym, niż z lwem umarłym, to też, niepomny na czas, w którym ryk mój wstrząsał sercem tysięców, dziś nie chce mnie słyszeć nawet. Przeżyłem się. Tworzyłem niegdyś wielkie projekta, wielkie nadzieje, wierzyłem, jak szaleniec jaki, że zostanę przywódcą wolnego narodu.

— Każdy Anglik jest człowiekiem wolnym, — przerwał sir Bazyli.

— Ach! — wykrzyknął z nagłym wybuchem siły i ognia. — Cóż mi po tej pozornej swobodzie? Ja inną chciałem im zapewnić! Być może, iż był to obłęd, marzyłem jednak nie o swobodzie narodu, ale o wolności ludu, kierowanego przezemnie, pozbawionego jarzma przemocy, podatków, narodowych długów i wszystkich klęsk dzisiejszych. Przychodziły chwile, w których, uniesiony rozległością własnych dążeń, wydawałem się sam sobie nie człowiekiem, ale nadludzką jakąś istotą. Dziś moje marzenia, moja duma, moje życie nawet, wszystko się kończy.

— Dowodzenie pańskie niejasnem jest dla mnie, — zauważył sir Bazyli. — Uznajesz pan, jak widzę, konieczność steru dla ludu, jeżeli przeto nie ma on być rządzonym przez króla, nie rozumiem, dla czego miałby być kierowanym przez pana? Rządy twe musiałyby być gorsze, tak jak gorsze są z konieczności zasady twe i niższy stopień nauki.

— O tem pomówimy inną razą, — odparł „Głos-Ludu“ z ruchem pożegnania. — Przyjdź mnie pan kiedy odwiedzić; dziś nie mogę dłużej mówić. Poruszyłem zanadto stare rany w sercu. Do widzenia.

I nieusłyszawszy, ani słowa więcej, młody baronet musiał skierować się z powrotem ku Opactwu, myśląc przez całą drogę o człowieku, który go pożegnał przed chwilą.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Tegoż wieczora liczne grono gości zebrało się w Dene-Abbey. Sir Bazyli Carlton nadludzkiej prawie używał mocy, aby pokryć niezwykłe swe roztargnienie; cóż z tego jednak, kiedy, wśród najbardziej ożywionej rozmowy, przed oczami jego przesuwały się ciągle stary, normandzki kościółek, złotowłosa główka, o rysach, nacechowanych anielskim wyrazem, a wreszcie ponura, wynędzniała twarz schorzałego człowieka, zapatrzonego smutnie w błękitne fale oceanu. Baronet czynił, co mógł, aby zapanować nad sobą, — miłość jednak bywa na niektórych punktach bardzo przenikliwą. — Lea spostrzegła też niezwykłą zadumę narzeczonego.

Jakże ona go kochała! Gdy zbliżała się w tej chwili do niego, w czarnych jej źrenicach błyszczał cały świat serdecznego uczucia. Drobne usteczka drżały, w rysach przebijał się niepokój. Stanąwszy przy fotelu jego, pochylona lekko, szeptała słowa, przejęte najszczerszą, wzruszającą tkliwością.

— Ukochany mój! — mówiła. — Co tobie jest? Czy zmęczyłeś się tą daleką wycieczką? A ja byłam zazdrosną o nią, zazdrosną, że nie wziąłeś mnie z sobą.

Sir Bazyli siłą woli otrząsnął się z zadumy i usiłował rozmawiać z nią uprzejmie, — dla czego jednak miłość pięknej tej kobiety nie wzruszała go wcale, czemu nieraz stawała mu się prawie ciężarem?

— Będę śpiewała, jeżeli chcesz, dla ciebie, — mówiła dalej. — Przysłano mi dziś nową piosenkę, ofiarowaną mi przez autora; zarówno słowa, jak i muzyka, bardzo są ładne. Proszono mnie już ze dwadzieścia razy o wykonanie jej, postanowiłam sobie jednak, że ty ją pierwszy musisz usłyszeć.

Sir Bazyli, siedzący zdala od fortepianu, na drugim końcu salonu — poruszył się lekko.

— Pozwól, abym ci towarzyszył, — wyrzekł.

— O, nie! — zawołała. — Wolę, abyś pozostał tutaj i, słuchając, krytycznie powiedział mi później swoje zdanie.

Sir Bazyli słuchał w rzeczy samej z natężeniem, — bogaty, bowiem, kontralt Lei posiadał dźwięk jakiś nieujęty, który przypominał mu silnie, czysty, rozległy sopran, słyszany w starym, normandzkim kościółku.

Piosenka skończyła się wśród głębokiej ciszy obecnych. Lea, niezaczepiona przez nikogo, powróciła na dawne swe miejsce przy boku narzeczonego.

— Czy zadowolony jesteś? — pytała.

— Alboż mogłoby być inaczej? — zawołał. — W głosie twym, Leo, zauważyłem dziś dźwięk, dziwnie mi znany. Przez cały czas twego śpiewu doznawałem takiego magicznego uczucia, jak gdybym słyszał cię był przedtem w wyższym jakimś świecie.

— O! to niepodobna, — zaprzeczyła z uśmiechem. — To spotkanie z tobą w innych nawet przestworzach pamiętałabym doskonale. Powiedzenie twoje, iż czyjaś twarz może być piękniejszą, czy tkliwszą od mojej, bolało mnie przez długi przeciąg czasu, chociaż nie mówiłam ci tego, jeżeli jednak głos mój znajduje jedynie dla tego twoje uznanie, że przypomina ci inny, postaram się nigdy nie śpiewać więcej w twojej obecności.

Piękna jej twarzyczka oblała się gorącą purpurą, drobne usteczka drżały, wymawiając słowa powyższe.

Uraza ta pochlebiała sir Bazylemu, lecz nie obchodziła go tak, jak obchodzi szczerze zakochanych.

— Bazyli, — wyrzekła po chwili łagodnie, — czy ty mnie masz za bardzo zazdrosną?

— Nie wiem, Leo, mam jednak nadzieję, iż nie poddasz się tak niskiemu uczuciu, które, o ile mi się zdaje, musi wiele bólu przynosić.

Piękne, czarne jej źrenice otworzyły się szerzej jeszcze, niż zwykle.

— Jakto? — wyrzekła. — Albo ty nie znasz go? Nie pojmujesz przykrości, jaką mi sprawia?

— Nie, — odparł szczerze. — Nie przypominam sobie nawet, abym kiedykolwiek w życiu był o co, lub o kogo zazdrosnym. A! prawda, kiedyś, będąc chłopcem, o narzeczonego mej siostry, bo wiedziałem, że nam ją zabierze. Byłem niepocieszony, pamiętam doskonale to uczucie bólu, połączone z pojęciem gorzkiej krzywdy i zniewagi. Nienawidziłem go przez jakiś czas. Ale to tylko wrażenia dziecięce, które się nigdy później nie powtórzyły.

— Nigdy? — podjęła Lea z naleganiem.

— Ani razu, — zaśmiał się Carlton swobodnie.

— Czy sądzisz, że zazdrość nie jest oznaką miłości? — zapytała smutnie.

— Nie wiem, nie zastanawiałem się nigdy nad tem, — odparł.

— Według mnie zaś są to dwa nierozłączne uczucia. Gdybyś ty, Bazyli, był bardzo uprzejmym dla jakiej kobiety, gdybyś ją chwalił i uwielbiał, wiadomość ta uczyniłaby mnie najnieszczęśliwszą w świecie istotą.

— I dla czegoż to? — zapytał łagodnie.

— Ach! ty nawet zrozumieć tego nie możesz. To uraza mimowolna, której się niepochwala, niepragnie, a jednak ona przychodzi i, zamieniając się w zazdrość, straszne szpony zapuszcza w duszę. Bazyli, — ciągnęła, nachylając się z pieszczotą ku niemu, — czy ty nigdy nie doświadczasz tego względem mnie?

— Nigdy w życiu, Leo, — odparł szczerze.

Piękne jej lica przybrały wyraz rozczarowania.

— Teraz ja nie rozumiem znowu. Jakto, widząc mnie, otoczoną gronem młodzieży, słysząc słodkie ich słówka i grzeczności, nie doznajesz uczucia zazdrości?

— Żadnego. Przeciwnie, lubię, gdy jesteś podziwianą.

Zmarszczyła brwi z wyrazem zdumienia i zawołała:

— A! w takim razie nie kochasz mnie chyba tak, jak ja cię kocham, — rzekła z wymówką.

Nic tak nie drażni mężczyzny, jak, kiedy kobieta, względem której poczuwa się do winy, męczy go ciągłemi badaniami, co do nieistniejących w nim uczuć.

Sir Bazyli był zawsze zakłopotanym i znudzonym rozmową, którą Lea niezmiennie na swoją stroiła nutę. Zapytywany po setne razy kiedy ją pokochał, jak ją kochał, nie wiedział nigdy, co ma odpowiedzieć, z tej prostej przyczyny, iż w oświadczeniu jego grało rolę nie serce, ale pochlebiona próżność i namowa sir Artura.

— Leo, — wyrzekł, chcąc uwolnić się od jej dociekań, — jak też ty dziwnie lubisz mówić ciągle o miłości.

— Doprawdy? — zapytała słodko. — Dowodzi to tylko, iż me serce jest nią przepełnione dla ciebie, ukochany.

Później przyszło jej na myśl, że może niedobrze robi, dając mu tak jawnie poznać głębie swego uczucia. Dla czego jednak miała ukrywać miłość swą? — wszak wkrótce zostanie jego żoną; niepowinna się jej wstydzić przeto.

Sir Bazyli zadumał się głęboko. Jeżeli zazdrość była nieodłączną częścią prawdzi-

wego uczucia, w takim razie nie kochał on Lei z pewnością. Czy jednak zdoła ona to odkryć?

ROZDZIAŁ XXIX.

Sir Bazyli Carlton należał do ludzi dumnych i ambitnych. Żałując też szczerze czasu, straconego za granicą, postanowił usilną pracą nagrodzić lata minione. Wprawdzie pobyt we Włoszech dał mu wszechstronne wykształcenie w sztukach pięknych, — pozwolił mu obeznać się gruntownie z malarstwem, muzyką i rzeźbą, niemniej jednak żałował, iż nie odebrał surowego wychowania chłopców angielskich, które, jak mniemał, niczem zastąpić się nie da. Czem w uroczej Italji sztuki piękne, tem są pod chmurnem niebem Albionu sprawy społeczne i polityka. Będąc salonową wyrocznią w pierwszych, sir Bazyli nie życzył sobie bynajmniej, aby się w drugich z niego naśmiewano. Postanowił on poznać gruntownie sprawy bieżące, zbadać odcienia wszelkich stronnictw, a przyłączywszy się do jednego z nich na mocy własnych przekonań, popierać je później całą swą powagą. Polityka zajmowała go silnie, stanowisko też wpływowego męża stanu należało do najgorętszych jego pragnień.

Bogaty i niezależny, potrzebował wytworzyć sobie zajęcie; pragnąc zaś być użytecznym, chciał sobie równocześnie zapewnić stanowisko.

Wobec takiego usposobienia, poznanie człowieka, który niegdyś poruszał całym politycznym światem, bardzo mu było na rękę. Sir Artur Hatton należał do typu dawnych rycerzy; książe Resedene'u wierzył ślepo w największe prawa pomazańców bożych, — Marcin Ray zaś głosił jawnie wyższość ludu. *Vox populi, vox Dei* było jego dewizą, — wśród trzech tych przedstawicieli przeciwnych obozów sir Bazyli spodziewał się znaleść możność dokładnego zbadania prawdy.

Udając się też nazajutrz do Rosewalk'u, był on najmocniej przekonanym, iż idzie zobaczyć Marcina Ray'a, pociągany ku niemu najszlachetniejszemi pobudkami. Być może, iż przytem ujrzy również i piękną śpiewaczkę, — to jednak nie od niego zależało.

Po raz drugi z rzędu opuszczał Dene-Abbey, pod pozorem dłuższej przechadzki niezaprosiwszy Lei do uczestniczenia w takowej. Mis Hatton zauważyła to dobrze, jakkolwiek milczała. Lekki powiew podnoiśeł się od morza, a łagodząc upalne słońca promienie, niósł z sobą woń tymianku, którym sąsiednie wzgórza były pokryte.

Zbliżając się do Rosewalk'u, spostrzegł na wybrzeżu przed domem urocze, piękne dziewcze, zapatrzone w dal morską. Dla czego widok idealnej tej postaci wstrząsnął jego sercem tak mocno? Nie umiał sobie odpowiedzieć, — postanowił jednak nie spojrzeć wcale w idealne jej lica, koroną złotych włosów otoczone. Minąwszy ją też, poszedł wprost do drzwi mieszkania i zapukał lekko.

Z wewnątrz żadnej niebyło odpowiedzi, równocześnie jednak ujrzał, jak przez sen, iż postać czarodziejki podniosła się i zwolna zbliżała ku niemu.

— Przepraszam panią, — wyrzekł, — chciałem się zobaczyć z panem Marcinem Ray'em.

Cofnęła się trochę, spoglądając na niego z nieukrywanem zdumieniem.

— Mego ojca niema w domu, — odparła.

Błękitne jej źrenice, patrzące mu w oczy badawczo, spuściły się ku ziemi, przysłonięte ciemną i długą rzęsą, — bladą zaś twarz pokrył delikatny, jak jutrzenka, rumieniec. Wzrok młodzieńca wyrażał tak jawne i gorące uwielbienie, iż nie ośmieliła się podnieść powtórnie swych białych powiek.

— Niema go w domu? — powtórzył sir Bazyli. — Jakże mnie to smuci! Chciałem się koniecznie z nim zobaczyć dzisiaj i zrobiłem nawet z tego powodu spory kawał drogi. Czy mogę mieć nadzieję, że mi pani pozwolisz zaczekać na ojca?

— Jeżeli pan sobie tego życzysz, sprzeciwiać mu się nie mogę. Uprzedzam jednak, iż godzina jego powrotu nie jest oznaczona.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OGŁOSZENIA.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: *Stanisław Wuffka.* Z drukarni Kornela Pillera.